

Jak wariat boży ratuje Podlasiian

 rp.pl/Zycie-Ziemi-Podlaskiej-/308219869-Jak-wariat-bozy-ratuje-Podlasiian.html

Dr Paweł Grabowski porzucił karierę w Warszawie, by pomagać nieuleczalnie chorym pacjentom na podlaskiej wsi.

O takich jak on na wschodnim Podlasiu mówią „jurodiwy” – w wolnym tłumaczeniu „wariat boży”. Miłosierdzie miłosierdziem, ale wielu pacjentom nadal nie mieści się w głowie, że można pomagać bezinteresownie. Zwłaszcza jak się jest pochodzącym z Krakowa warszawskim lekarzem z doktoratem i dwoma specjalizacjami – z chirurgii szczękowo-twarzowej i medycyny paliatywnej. I specjalizację pierwszego stopnia z chirurgii stomatologicznej.

Jeszcze bardziej doktora Pawła Grabowskiego nie mogą zrozumieć koledzy lekarze pracujący z nim najpierw w klinice Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przy Lindleya, a potem w stołecznym Centrum Onkologii. Tylko wariat – myślą – mógł wyjechać na Podlasie i założyć tam Hospicjum Domowe pw. Proroka Eliasza, pomagające osobom starszym w ostatnich latach ich życia.

Rozmowa jak dobry lek

Dlaczego Podlasie? – Bóg raczy wiedzieć – śmieje się dr Grabowski. Może dlatego, że podczas jednego z badań sam przeżył śmierć kliniczną. Potem pomyślał, że chce zrobić coś, co miałoby wartość.

Idea hospicjum zakładała pomoc ludziom na terenach najbardziej oddalonych od ośrodków medycznych. – A na Podlasiu wciąż są miejsca, gdzie do najbliższej chaty jest kilometr, do sklepu 6, a do supermarketu – 60 km. I jak ktoś zachoruje, nie może liczyć na niczyją pomoc – tłumaczy dr Grabowski. Regularnie odwiedza wioski, w których zamieszkane są pojedyncze chaty, połowa stoi pusta i zapełnia się tylko w weekendy, a reszta po prostu niszczeje. – Niedawno byłem u dziadunia, który w ostatnich miesiącach pielęgnował umierającą żonę. Babunia umarła, a on leży w jej łóżku, w chacie niewywietrzonej z wyziewów choroby, płacze i mówi: „Ona pomierła, ja też chcę do niej do nieba”. Długo rozmawialiśmy. Studentom powtarzam, że czasem towarzystwem, rozmową, można ukoić ból. Bo cierpienie i ból jest zjawiskiem bardzo złożonym, a osamotnienie i brak poczucia własnej godności potrafi go spotęgować – opowiada dr Grabowski.

Ze współpracownikami rozmawia często, omawiając sytuację pacjentów i sposób leczenia. Wie, że w medycynie paliatywnej, którą uważa za królową nauk medycznych, są równie ważni co lekarz. Podoba mu się inny sposób działania niż w hierarchicznym systemie klinicznym, gdzie profesor jest bogiem, lekarz jego pomocnikiem, a personel pomocniczy nie ma prawa głosu. – To nie zadziała w systemie hospicyjnym, gdzie musimy być dla siebie partnerami – tłumaczy.

Reklama

O roli pielęgniarek i fizjoterapeutów opowiada „młodzieży lekarskiej” na warsztatach z

pracy z umierającym pacjentem, które regularnie prowadzi w ramach warsztatów organizowanych przez EFMSA, międzynarodowe stowarzyszenie studentów medycyny w Warszawie, Lublinie i Białymstoku. Studenci mówią mu później, że medycyna widziana z perspektywy opieki nad nieuleczalnie chorymi na zawsze zmienia myślenie, nie tylko o pacjentach paliatywnych.

Pomagać mądrze

Rzeczywistość pomagania jest jednak trudniejsza od wyobrażeń tych, którym się o niej opowiada. Życie w Nowej Woli pod granicą białoruską toczy się może nieco wolniej niż w Warszawie, ale pracownicy hospicjum zawsze mają co robić. Zasadnicza różnica polega na tym, że muszą obyc się bez ułatwień technologicznych, jakimi dysponuje duże miasto, a pacjenci nie zawsze są przygotowani na ich pomoc.

Dr Grabowski czuje, że dopiero po pięciu latach uczy się pomagać mądrze, nie mylić szczodrości z głupotą, nie dać się wykorzystywać. Tłumaczyć podopiecznym, że pożyczony koncentrator tlenu ma służyć kolejnym pacjentom i nie można przy nim palić papierosów. Że fakt, że pożyczają go za darmo, a nie za 160 zł, które musieliby zapłacić w Białymstoku, nie znaczy, że hospicjum ktoś go podarował. Że zniszczonego nikt za darmo nie wymieni na nowy. Dlatego chce nie tylko dawać, ale też wymaga szanowania sprzętu – zarówno koncentratorów tlenu, ssaków, nawilżaczy powietrza, pomp infuzyjnych, jak i dziesięciu łóżek elektrycznych, które cały czas są w obiegu u potrzebujących. Żartuje, że musi uruchomić swoją krakowską naturę, choć sam czuje się bardziej człowiekiem z Nowej Huty niż z Krakowa.

Choć hospicjum miało być niedochodowe, utrzymywane wyłącznie z datków, a jego projekt doktor nazywał „odwrotnym biznesplanem”, widzi, że bez pieniędzy nie da się skutecznie pomagać. – Muszę szanować pieniądze ludzi, często bardzo ubogich, dla których przesyłane nam co miesiąc 10 zł jest naprawdę poważnym wydatkiem.

Od miesiąca za opiekę nad kilkunastoma pacjentami – czyli połową podopiecznych – płaci Narodowy Fundusz Zdrowia. Po pięciu latach tytanicznej pracy system docenił to, co doktor i jego zespół robi dla chorych terminalnie. Ale pieniądze z NFZ nie zaspokoją wszystkich potrzeb. Dlatego doktor Grabowski cieszy się, że hospicjum pod granicą jest dla mediów na tyle egzotyczne, że chcą o nim mówić i pisać. Dzięki temu o potrzebujących z Podlasia dowiaduje się coraz więcej osób, które chcą pomagać. Dlatego nie wzbrania się przed kontaktem z dziennikarzami, zaznaczając, że wolałby mówić nie o sobie, ale o hospicjum. Pech chce, że historia warszawskiego chirurga, który rzucił wszystko, by pomagać na Podlasiu, jest tematem na tyle wdzięcznym, że to jemu poświęcają gros tekstu. Nawet wtedy, gdy hospicjum staje się laureatem konkursu „Podlaska marka”...